

Od autora: A co jeśli dwóch przyjaciół będzie musiało zmierzyć się z, wydawałoby się, zupełnie normalnym światem, na który nie są przygotowani? Przekonajcie się sami.

Andrzej z Mirkiem znali się już od dłuższego czasu. Będzie ze sześć lat, jak na dworcu w Szczecinie ich ścieżki się skrzyżowały. Przyjaźń wspomnianych panów była, co prawda, podziurawiona zdradami i poprzecieraną na kłamstwach, ale wszędzie, na każdej skazie, niby strażnicy czci, leżały szwy zdezynfekowane alkoholem. Ich sekret polegał chyba na współdzieleniu pasji. Byli kawalerami, lubili podróżować po Polsce, popijać miejscowe trunki, podziwiać piękno przyrody... Ba, przyrody to oni byli miłośnikami. Nigdzie nie zagrzewali długo miejsca toteż żadna linia papilarna na ich ciele nie zwiastowała miłości. Może zresztą i dobrze, bo tam, gdzie kipiąca miłość zdąży się rozlać, przyjaźń będzie wrzec stale i pewnie.

Zanim się poznali, wiedli w miarę dostatnie, lecz nieco zmierzwiłone życie.

Mirek był szczupłym czterdziestoczteroletnim mężczyzną o zielonych oczach, orlim nosie, ciemnych prostych włosach i imponującym, przeszło stuosiemdziesięciopięciocentymetrowym wzroście. Do pewnego czasu prowadził wraz z ówczesnym przyjacielem warsztat samochodowy w Murzasichle. Przyjaciół nazywał się Tomasz. Któregoś dnia jego żona od niego odeszła. Po prostu spakowała walizki i wyszła z domu lekko kłapiąc drzwiami, jakby wychodziła do kiosku po program telewizyjny. Trochę rozpaczał, trochę pił, trochę ciskał rzeczami w różne strony świata. Ostatecznie powiesił się pod strzechą pięknego górskiego domku ze spadzistym dachem i rzeźbionymi w drewnie ornamentami. Mirek należał do osób uczuciowych toteż bardzo przeżywał stratę przyjaciela. Zaczął pić. Niewiele, bo miał słabą głowę, za to systematycznie. Podczas jednej z pijackich odysei wydawało mu się, że widzi Maćka, dwudziestoletniego syna świętej pamięci Tomasza dyndającego pod sufitem na tym samym czarnym pasku ze sztucznej skóry, który zakończył żywot jego rodziciela.

Nazajutrz okazało się, że dziewczynę Maćka stan błogosławiony nawiedzał już od dłuższego czasu, zaś główny zainteresowany zeszłej nocy stał się przeszłym niedoszłym mężem i ojcem.

Mirek uznał, że jest przeklęty i nie może narażać ludzi na niebezpieczeństwo. Wypijając pięćdziesiątkę wrzuconą w szklankę piwa jeszcze bardziej utwierdził się w tym przekonaniu, zabrał z domu ostatni plik banknotów leżących w barku i wyszedł nie zamykając za sobą drzwi.

Z trzydziestoosmioletnim Andrzejem - niskim krępy blondynem z kaprawymi oczkami i wiecznie napuchniętymi palcami było nieco inaczej. On po prostu puścił swoje życie bokiem. Mieszkał z matką na jednej z licznych wsi w województwie łódzkim. Po technikum rolniczym skubał kury w sąsiednim gospodarstwie, w lato wiadomo – do żniw się poszło, bele siana ładowało się na plandekę, rwało się pomidory i jakieś pieniądze zawsze wpadały do kieszeni. Zwykle popołudniami przesiadywał na ławeczce pod sklepem zagadując miejscowe panny przychodzące po chleb albo śmietanę. Stacjonowanie pod wspomnianym sklepem wiązało się jednak ze nieuchronnym spożywaniem trunków gdyż, jak głosiła pomarańczowa laminowana zawieszka, ogródek piwny przeznaczony był wyłącznie dla klientów sklepu.

Andrzej wegetował tak aż do pewnego skwarne, sierpniowego dnia, kiedy to wróciwszy do domu poczuł smród rozkładającego się mięsa. Sprawdziwszy uprzednio lodówkę, odkrył, że smród pochodzi z pokoju jego matki, która w bardzo nieromantyczny sposób zaczęła się skracać z powrotem do atomu. Łkając, bo co by nie mówić – kochał swoją matkę, zastanawiał się, jak mogło do tego dojść. Zmarła rano, tuż po jego wyjściu, czy może wczoraj, a on po prostu nie zauważył? Andrzej nie mógł sobie darować, że nie jest w stanie określić dokładnego czasu jej zgonu. Skoro się z nią nie pożegnał, to chociaż żeby wiedział, o której zmarnował swoją szansę. Tak czy inaczej w domu cuchnęło popsutym kurczakiem. Andrzej zadzwonił na pogotowie, spakował rzeczy w plecak i wyszedł z domu nie zamykając za sobą drzwi, by pogotowie nie miało trudności z dostaniem się do środka

Spotkali się nieco ponad dwa lata później. Mirek już dawno rozpuścił swój niezbyt gruby plik banknotów, a plecak Andrzeja wraz z całym dobytkiem przepadł podczas ucieczki przez SOK - istami, którzy w gmachu dworca Łowicz Główny jakoś nie mogli dostrzec tego koczowniczego potencjału, który widział Andrzej. Co więc pchnęło ich w stronę Szczecina? Obaj, w odstępie paru dni zapragnęli znaleźć się nad polskim morzem i obaj tego samego dnia zostali wyrzuceni z, co prawda, różnych pociągów, ale z tego samego powodu. Przejazd na gapę podlega każde stu osiemdziesięciu złotych, o, tu jest wszystko napisane, konduktor stukał czubkiem długopisu w zielono – biały regulamin przewozu pasażerów przyklejony do jednej ze sklejkowych, lakierowanych ścian pojazdu.

Do przyjazdu kolejnego pociągu zostało czterdzieści minut. Wypadało więc usiąść na ławeczce, rytualnie splunąć w sam środek blankieciku z napisem „Opłata dodatkowa”, po czym ostrożnie zmiąć i wrzucić go do śmietnika, niby w paszczę bezradnych Polskich Kolei Państwowych.

Tak się złożyło, że śmietnik do którego zamierzali wrzucić swoje oplute mandaty, był jednym i tym samym śmietnikiem. Andrzej omiótł Mirka obojętnym wzrokiem. Dopiero widok zmiętego świstka papieru wywołał w nim falę braterskich uczuć.

Pies im mordy lizał, złodziejom, pierwszy odezwał się Andrzej – z natury znacznie śmielszy od Mirka. Mnie tam wszystko jedno, i tak nie mam z czego zapłacić, odparł Mirek lekko wykrzywając twarz w losową stronę, co w jego mniemaniu uchodziło za uśmieszek cwaniaka.

Dokąd pan jechał?, spytał Andrzej słusznie przyjmując formę grzecznościową - Mirek był przecież sześć lat starszy od niego.

A jaki tam ze mnie pan, odparł Mirek wystawiając otwartą prawicę, Mirek jestem.

Andrzej, odparł Andrzej ściskając dłoń przyszłego przyjaciela. No więc dokąd jechałeś, Mirek.

Nad morze, gdziekolwiek. Chcę się po prostu znaleźć na plaży, odparł zerkając na wielki zegar zamontowany na ścianie dworca.

Ale numer, ja też, zaśmiał się Andrzej, może pojedziemy razem?

Mirek uznał, że nieuprzejmym z jego strony będzie odrzucenie propozycji nowo poznanego towarzysza. Gdyby może miał jakieś cenne rzeczy odmówiłby w obawie przed kradzieżą, ale tak, pusty jak grób Chrystusa, nie miał nic do stracenia.

Tym bardziej, że obaj panowie mieli bujne, bezdomne brody z załążkami kołtunów - jakże więc mogli sobie nie zaufać?

Wyjazd nad morze okazał się suto zakrapianym nawozem ich rozkwitającej przyjaźni i nawet dwudniowe zniknięcie Andrzeja w jednej z nadmorskich menelni, nie zdołało ich trwale poróżnić.

Traf chciał, że kilka lat później, dokładnie dwudziestego ósmego czerwca dwa tysiące trzynastego roku obaj panowie zawędrowali aż do Warszawy, w której żaden z nich nigdy wcześniej nie był.

Od razu na dworcu, starym zwyczajem zapoczątkowanym wtedy nad morzem, kupili najtańszą zdrapkę. Kosztowała dwa złote i polegała na zdrapaniu dwóch z ośmiu pól umieszczonych w tęczowym kole fortuny. Zdrapka nazywała się zresztą „Koło Fortuny”.

Jeśli pod jednym z pól znajdzie się liczba, a pod drugim dwie literki: „Z” i „Ł”, to szczęściarz wygrywa tyle złotych, ile odsłonił na polu z liczbą. Do tamtej pory zakupili przeszło trzydzieści zdrapek wygrywając łącznie nieco ponad dwadzieścia złotych.

Zdrapki nie były z ich strony formą zarobkowania, a co najwyżej rytuałem, który stwarzał w ich głowach wrażenie, że los może się jeszcze odmienić. Trzeba przecież walczyć o lepsze jutro, prawda?

Zdrapanie pierwszego pola przyszło łatwo - na chybił trafił, cyk, z góry, pierwsze pole po lewej – ale po odsłonięciu wspomnianych wyżej literek, ciężar odpowiedzialności drastycznie wzrósł.

Weź ty zdrap, rzekł Andrzej wciskając zdrapkę przyjacielowi.

Nie wygłupiaj się, dobrze zaczęłeś, to dobrze skończ, wykręcał się Mirek.

A diabli, co będzie, to będzie. Nie pierwsza i nie ostatnia zdrapka, rzekł przykładając pięciogroszówkę,

raz do jednego, raz do drugiego pola. W końcu się odważył. Zaczął trzeć. Pierwsza ukazała się liczba dwa, potem pięć, i gdy przyjaciele zaczęli już planować wieczór, doszła jeszcze liczba zero. Rozwarli oczy, jak świadkowie cudu.

Weź to pokaż, Mirek wyrwał Andrzejowi zdrapkę, nie ma tam jakiegoś przecinka?

Okazało się, że przecinka nie ma. Cyfry, jak w mordę strzelił, składały się w dwieście pięćdziesiąt. Pobiegli z powrotem do kolektury znajdującej się w tym samym pomieszczeniu, co kiosk.

Proszę, rzekł Andrzej wciskając zdrapkę w szczelinę pod okienkiem kasjerki.

Ta spojrzała na nich z obrzydzeniem. Wstrętne meneliska, teraz to dopiero zaczną jubel, pomyślała wyciągając z kasy odliczoną kwotę.

Oto pańska nagroda, rzekła wkładając banknoty w szczelinę. Ułamek sekundy później cofnęła dłoń w obawie, że któryś z nich przypadkowo dotknie ją swoimi zaszczanymi i zasranymi łapskami. Ryzyko było bardzo nikłe, acz realne.

To co? Jakaś flaszeczka na rozruch, spytał Andrzej osłaniając oczy przed słońcem, tylko gdzie jest monopolowy?

Okazało się, że w Warszawie nie ma monopolowych. Są tylko żabki, biedronki i małpki. Na szczęście wszystkie te sklepy dysponowały znacznym procentowym asortymentem.

Wchodząc do bieronki natknęli się na rośłego chłopca w czarnej koszulce z żółtym napisem „ochrona”.

Spieprzać mi stąd, syknął bezpardonowo.

Ale my mamy pieniądze, bronił się Mirek jak dziecko przyłapane na wagarowaniu.

Ale śmierzcie jak skunksy, proszę wyjść, powiedziałem.

Ale, przerwał mu Andrzej.

Nie ma żadnego „ale”, warknął, jazda stąd, bo zadzwonię na policję!

Rozgoryczeni, z poczuciem niespełnienia, usiedli na ławce w pobliskim skwerku.

Trzeba się doprowadzić do porządku, bąknął Andrzej, bo w tym mieście, to wyżej srają niż dupy mają.

Ale brody nie zgolę, zaprotestował Mirek.

Ja to samo, tak długo ją, kurna, mam, będę się czuł jak bez gęby, Andrzej poklepał Mirka po plecach zapewniając go tym samym o męskiej solidarności.

Chwilę rozglądali się po śródmieściu w poszukiwaniu drogerii. Kiedy już znaleźli, po raz kolejny drogę zastawił im ochroniarz.

Czego tu? Poszli, ale już!, ochroniarz wystawił wskazujący palec, by pokazać, w którym mniej więcej kierunku mają się udać.

Ale panie, my tu tylko po mydło przyszliśmy.

Ochroniarz nie uwierzył. Bąknął coś jeszcze, że zna takich, jak oni i, że nie da się nabrać.

Parę minut stali zdezorientowani nie wiedząc, co robić.

Chwilę potem zaczęli młodego chłopaka z dziwnie obciętymi włosami i czapką z napisem „sWaG”.

E, młody, Andrzej szepnął konfidencko. Chłopak przystanął zastanawiając się, czy chodzi o niego.

Mógłbyś kupić nam mydło?, z tonu Mirka wytraçała się nieśmiałość. Nigdy nie lubił prosić się o cokolwiek i pewnie dlatego czuł, że bez Andrzeja by sobie nie poradził.

Ale ja nie... chłopak chciał wygłosić oklepaną formułkę.

Spokojnie, damy ci pieniądze. Tylko jakieś pachnące, dobra?, Andrzej postawił chłopaka przed faktem dokonanym. Z niebieską pięćdziesiątką chłopak wszedł do sklepu. Po chwili wrócił z mydłem o zapachu drzewa sandałowego. Było Micelarne, cokolwiek by to nie znaczyło.

Dziękuję, powiedział Mirek odbierając kosztowność i resztę. Uśmiechnął się też do chłopaka, lecz ten nie odwzajemniając gestu ruszył w swoją stronę.

Jakie okropne miasto, westchnął Mirek wpatrując się w etykietkę mydła.

Chamstwo wszędzie!, Andrzej splunął na chodnik.

Mieli mydło, no dobrze, ale gdzie go użyć?

Z restauracji ich wyrzucili, z Empiku także, o kinie nie mogli nawet pomarzyć, słowem, woda nie była im tego dnia przeznaczona.

Błądząc bezradnie po Krakowskim Przedmieściu natrafili na kloszarda pchającego dziecięcy wózek wypchany złomem.

Kolego, gdzie tu się można obmyć?, zagadnął go Andrzej.

Kloszard spojrzał na nich z pogardą. Gołodupce bez wiana. W dodatku przyjezdni. Nigdy wcześniej ich nie widział, a należał przecież do tutejszej braci. Wiedział kto z kim, jak i dlaczego. Wiedział też po ile miedź, a po ile aluminium.

Przy trasie WZ, odparł w końcu, nawet na nich nie patrząc.

A gdzie to jest?, spytał po chwili namysłu, lecz menel ruszył już dalej.

Halo, gdzie to jest?!, krzyknął jeszcze za nim. Bezskutecznie.

Ruszyli dalej wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia. Po lewej stronie rzucił im się w oczy szyld: „Odzież używana. Regularne dostawy.” Weszli bez słowa.

O dziwo wewnątrz nie było żadnego ochroniarza. Jedynie drobna, młoda, lecz niezbyt ładna ekspedientka.

Przepraszamy panią, powiedział Mirek, czy moglibyśmy się rozejrzeć?

Skinęła głową.

Mirek, niezbyt czystymi rękami, wybrał sobie flanelową koszulę w renifery i workowate płóciennie spodnie w kolorze miodowej musztardy, Andrzej zaś połówkę z jakimś dziwnym logo i klawe, jak to określił, sztrukso - jeansy. Za wszystko zapłacili dwadzieścia dwa złote, po czym podziękowali i wyszli. Parę minut po ich wyjściu kasjerka otworzyła drzwi na oścież, by wywietrzyć pomieszczenie. Dobrze, że Mirek tego nie widział. Zrobiłoby mu się przykro.

Trasa WZ znajdowała się na przedsionku Starego Miasta. Okazało się, że to przeszklony budynek goszczący wewnątrz siebie pierwsze w Polsce ruchome schody. Tylko tyle, albo aż tyle.

Kartka z napisem: „Bezpłatne WC” wskazała im cel.

Zeszli po schodach i wybrali drzwi z piktograficznym ludzikiem bez sukienki.

Trzy krany, wewnątrz nich bieżąca woda, co prawda tylko zimna, ale to nic. Oprócz tego kilka lusterek i zapach ekskrementów wymieszany z środkami czystości i wilgotnym ciepłym powietrzem.

Rozebrali się do majtek. Miały żółte i brązowe smugi w strategicznych miejscach. Co parę sekund, po namyśleniu poszczególnych partii ciała, podawali sobie różową intrygująco pachnącą kostkę. Ludzie mijający ich w drodze za potrzebą, krzywili się z autentyczną odrazą. Pomijając szok kulturowy, pomieszczenie za ich sprawą nabrało niepowtarzalnej woni, która raz za razem przeprowadzała rewolucje w żołądkach coraz to nowych wchodzących.

Po półgodzinie upchnęli swoje stare łachy w reklamówkę, a nowe, jeszcze pachnące lumpeksiem ciuchy naciągnęli na świeże ciała. Skóra obu panów straciła nieco z odcienia. Stali się odrobinę mniej ogorzali, arystokratycznie bledsi. Włosy zaczesali do tyłu, a kołtuny na zaroście same się rozplątały. Zupełnie jakby Matka Chrzestna wyprawiła ich na bal.

Odmienieni, odświeżeni, wyszli na zewnątrz. Słońce świeciło radośniej, temperatura stała się bardziej znośna, a przeciąg spowodowany brakiem bielizny miło orzeźwiał krocze.

Tylko ciężkie, znoszone buciory przypominały im o niechwalebnej proveniencji.

Wstąpili do małpki, pokręcili się chwilę próbując zmylić pościg, po czym poprosili o połówkę, jeśli jest, to zimną.

Sprzedawczyni uśmiechnęła się mówiąc, że jest.

Zadowoleni ruszyli między kamienice starego miasta. Na murach barbakanu odkorkowali paliwo i bez cienia wstydu przypomnieli sobie, kim naprawdę są.

Nie pili od przynajmniej tygodnia. Andrzej stał się przez to odrobinę drażliwszy, a Mirek lekko zapadł się

w sobie.

Po kilku łykach odzyskali utracony przed przynajmniej tygodniem animusz.

W trakcie kilkunastominutowego układania planów na wieczór, w kadr weszła im niemłoda już kobieta z zaskakująco przyjemną aparycją.

Aniołku, powiedział Andrzej, dokąd fruniesz? W przytępionym i o obniżonym poczuciu estetyki mózgu Andrzeja, każda kobieta, która nie przypominała Dzwonnika z Notre Dame, klasyfikowała się jako anioł.

Lecz tym, jak i każdym innym razem, ów anioł pozostawał niewzruszony na nawoływanie śmiertelnika.

Daj se spokój z tymi babami, chodźmy się zabawić, Mirek szarpnął Andrzejem. Niezbyt mocno. Stricte dydaktycznie.

Ruszyli dalej. Mijali odrapane kamienice, stragany z pamiątkami, rynek Starego Miasta, gruby pień i faceta w katowskim kapturze dzierżącego nieporęczny topór, aż dotarli na Plac Teatralny.

Pierwszym, na co zwrócili uwagę, była długa kolejka ludzi ubranych w galowe stroje.

Mirek gnany alkoholowym wyziewem zbliżył się do tłumu.

Coś tu rozdają?, spytał dziewczynę ubraną w długą czerwoną suknię.

Dziewczyna spojrzała na niego, jak na idiotę. To kolejka do klubu, powiedziała.

Do jakiego klubu, jeśli można wiedzieć?, nie dawał za wygraną.

Do Opery, jej brwi wystrzeliły niemal pod linię włosów.

To do klubu, czy Opery?, wtrącił się Andrzej. Grupka młodych ludzi, na oko licealistów, lub studentów zaczęła się śmiać.

Co was tak bawi?, burknął w ich kierunku. Nie odpowiedzieli.

Chodźmy stąd, Mirek pociągnął Andrzeja za rękaw niczym znudzona żona podczas telewizyjnej transmisji meczu.

Za placem skręcili w lewo. Krajobraz się zmienił. Monumentalne budowle z jasnego kamienia, wystrojeni ludzie i sklepy z ogromnymi witrynami. Minęła dłuższa chwila nim zorientowali się, że znajdują się na pasażu pełnym knajp, knajpek i knajpeczek.

W jednej z nich ludzie trzymali w rękach jakieś piloty i z nienaturalnym zapalaniem zmieniali kanały. Zaintrygowani weszli do środka.

Witam, rzekł chłopak, który z założenia był kelnerem, choć wcale tak nie wyglądał. Miał jakieś dziury w uszach, wielkie okropne dziury na sto procent kwalifikujące się do założenia szwów.

Iksboks, czy plejstejszyn?, spytał pokaleczony chłopak.

Słucham?, spytali jednocześnie.

Iksboks, czy plejstejszyn, bo nie wiem, gdzie panów posadzić.

Co to jest iksbok czy plejtejszy?, spytał Andrzej.

Gry wideo, odparł zmieszany.

Jak karty?, Andrzej zaczął drapać się po nosie. Może jakaś zabłąkana wesz nie spłynęła wraz z potopem?

A która lepsza?, spytał Mirek.

Obie dobre, odparł zniecierpliwiony. W myślach natomiast rozważał, czy ci dwaj brodacze robią sobie z niego jaja, czy o co chodzi.

To w takim razie to pierwsze, zarządził Andrzej.

Dopiero po usadowieniu się na miejscach, rozejrzeli się po wnętrzu.

Fluorescencyjne farby na czarnych ścianach i mnóstwo plakatów z jakimiś rysunkowymi postaciami, tak w skrócie przedstawiało się wnętrze. Do dwóch piw kosztujących prawie dwadzieścia złotych dostali dwa fikuśne piloty od telewizora.

Weź no włącz coś, to popatrzymy, co się na świecie dzieje, Powiedział Andrzej.

Nie wiem którym, odparł zawstydzony Mirek, dawno nie miałem pilota w ręku. Pozmieniały się.

Chłopcy, Andrzej zwrócił się w kierunku sąsiadów siedzących na jakichś wielkich poduchach, jak tym się włącza telewizor?

Sąsiedzi na których składało się trzech chłopaków i dwie dziewczyny zaczęli chichotać, żadne jednak nie spuściło wzroku ze swojego telewizora.

Pytałem o coś, warknął.

Andrzej tracił cierpliwość. Co to ma być? Ile można znosić naigrywania. Każdy człowiek ma jakąś godność. Mniej lub więcej, ale zawsze!, pomyślał stopniowo purpurowiejąc.

Sorry, myślałem, że żartujecie, jeden z sąsiadów zastopował obraz w telewizorze.

To są pady, służą do sterowania grą.

Pady, Andrzej zaczął obracać w myślach tajemnicze słowo.

Jakim cudem nie wiecie, co to pady?, spytała dziewczyna ubrana w różową koszulkę upstrzoną obrazkami lodów i lizaków.

Nie ta branża, odparł tajemniczo Mirek.

To czym się zajmujecie?, dopytywała dziewczyna. Była dość niezła. Cycek był, buźka słodka była, tylko ten wiek cielący... Czego by nie mówić o Mirku, zwyrolem nie był.

Wolny zawód, dopowiedział Mirek

Czyli artyści?, druga dziewczyna dołączyła do dyskusji.

Andrzej rzucił Mirkowi przelotne, acz nasyczone treścią spojrzenie, po czym rzekł, że Mirek trochę pisze wiersze.

Ja też!, dziewczyna z numerem dwa, rudawa, grubawa, jak gdyby uderzona młotkiem, splaszczona, zachłysnęła się piwem. A o czym pan pisze najczęściej?

Mirek spłynął purpurowym pąsem.

Jaki tam pan, powiedział machnąwszy ręką, o czym piszę, o tym piszę, to nie tak łatwo, bo to serce dyktuje, co mam pisać.

No tak, no tak, dziewczyna osiągała szczyty ekscytacji, mi też serce podpowiada, ale ja to tak społecznie bardziej. O metrze napisałam wiersz, o żurawiach... mam na myśli te dźwigi. Chciałabym się tak nachylać nad ludem i widzieć to, czego oni nie widzą w samych sobie.

Mirek potakiwał tylko, nie bardzo wiedział, co mógłby powiedzieć.

A pan?, chłopak w dżinsowej koszuli zwrócił się do Andrzeja.

Filmy kręcę, odparł bez chwili wahania. Andrzej chciał być kiedyś filmowcem. Zbierał nawet na kamerę, ale w tamtych czasach nie było gdzie kupić kamery, a nawet jakby było gdzie, to i tak brakłoby pewnie pieniędzy. Przepił tak czy tak, choć z każdym piwkiem trochę mu szkoda było tej kamery. Że znika mu z horyzontu.

I co pan nakręcił?

Takie jakieś po garażach, trochę na dworcu, powiedział Andrzej.

Czyli reportaże?, ładniejsza z dziewczyn chciała się upewnić, czy dobrze zrozumiała.

Tak, tak, powiedział Andrzej po czym odwrócił głowę dając tym samym do zrozumienia, że powiedział już wszystko, co może.

Chodźmy stąd, Mirek nachylił się do przyjaciela, źle się tu czuję. Ciągle o coś pytają.

Andrzej skinął głową, dopił piwo i wstał z fotela.

Panowie już idą?, zaciekawiała się hamburgerowata koleżanka.

Tak, na nas już czas, Andrzej kurtuazyjnie się uśmiechnął.

A może pójdziecie z nami, kolega robi dzisiaj w domu wystawę swoich fotografii, może coś się wam spodoba.

W domu?, Andrzej wchłonął to słowo wszystkimi zmysłami.

Właściwie w mieszkaniu, sprostował chłopak z grzywką wpadającą mu w oczy.

Jeśli to nie problem..., Andrzej zawiesił głos.

Nie, nie, będzie zabijać. Jakieś piwko jeszcze wypijemy.

Chłopcy nazywali się, w kolejności alfabetycznej: Antoni, Cyprian i Tymon, dziewczyny zaś: Nadia i

Rachela. To wyszło z toku rozmowy odbytej w drodze na wernisaż. Tyle, że w dalszym odcinku tejże drogi pojawiła się wódeczka o smaku świeżego ogórka i całe miasto raptem nabrało pędu. Gdyby to był film, do głów Andrzeja i Mirka przymocowano by kamery i kazano im kręcić się dookoła.

Raptem przybyło ludzi. Niektórych nie dało się zidentyfikować, chłopak, czy dziewczyna, stary, czy młody, biedny, czy właśnie obrzydliwie bogaty.

Wszyscy przekrzywiali głowy i oglądali czarno - białe wielkoformatowe zdjęcia. Był but rozdarty przy pięcie, studzienka kanalizacyjna w dużym zbliżeniu, odbyt psa en face, również w dużym przybliżeniu, światełka choinkowe oplatające dużego perskiego kota, wanna z czarną wodą w środku, a nawet dwa krasnale ogrodowe w jednoznacznej sytuacji.

Ludzie, którzy ich przyprowadzili, rozplynęli się w tłumie. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Weszli więc do sąsiedniego pokoju, zapalili światło i zaczęli się rozglądać.

Na półkach leżały przedziwne, znane im tylko z billboardów rzeczy. Jakieś małe metalowe kwadraciki, większe prostokąciki, jeszcze większe prostokąciki.

Mirek patrząc na tajemniczą aparaturę, zdał sobie sprawę, że wraz z Andrzejem dawno temu wypadli z obiegu. Nie wiedzieli, co dzieje się na świecie, jaka panuje moda, czego się słucha, ledwo znali prezydenta, a i to tylko dlatego, że pewnego dnia postanowił zgolić wąsy, i plakaty zwiastujące to wiekopomne wydarzenie wisiały w całych Katowicach – mieście, w którym podówczas przebywali.

Andrzej w tym samym czasie pakował te wszystkie kwadraciki i prostokąciki do torby znalezionej na podłodze.

Jak myślisz, ile to będzie warte?, spytał kompana.

Mirek wzruszył ramionami. Nie miał pojęcia, co to jest, skąd więc mógł znać wartość tego czegoś? Andrzej wsadził zawiniątko w spodnie i przystawił palec do ust, na znak, że cichosza, a wszystko będzie pięknie.

Gdy Mirek z Andrzejem wrócili na domowy wernisaż, w powietrzu unosiła się jakaś dziwna, drażniąca nozdrza woń.

Masz, ktoś wetknął Mirkowi papierosa do ręki. Mirek nie palił już od dawna, ale od małego maszka jeszcze nikt nie umarł, więc pyknął leciutko, aby na spróbowanie i oddał przyjacielowi.

Andrzej zaś przyssał się, jak do cyca. Ciągnął, ćmukał, ciumkał, siorbał ważąc smak w ustach.

Dziwny był ten papieros. Mniej go było czuć, ale bardziej zatykał. I ten smród jak z zoo!

W spodniach Andrzeja coś zaczęło trąkotać i wibrować, a tłum parę metrów od nich uformował się w niespokojny nurt.

Andrzej zauważywszy nagłą anomalię żywiołu sprzężoną z muzyką w jego kroczu, pociągnął Mirka za mankiety wskazując przy tym drzwi.

Wyskoczyli na klatkę. Jeden z kwadracików lub prostokącików wciąż pisał i brzęczał.

Nie zwracając sobie tym głowy zbiegli po schodach i w mig stanęli na porośniętym marmurem placu. Nagle coś zaczęło się zmieniać. Postrzeganie chyba. Jakby ktoś nałożył im na oczy filtr. Andrzej nie mógł wydusić z siebie słowa, a na dodatek podwórko okazało się wielkim labiryntem z mnóstwem zamkniętych furtek. Rośliny pięły się płynnie przechodząc od roślinności do egzystencji.

Jakaś kobieta wyprowadzała akurat potwora na spacer. Wyglądał jak pies, ale miał większe zęby, troje oczu i chyba czarne, szpiczaste rogi zamiast uszu. Kobieta przyłożyła coś do bramy, a ta zabrzęczała i odskoczyła. Najpierw wyskoczył potwór. Z brutalną szybkością, jakby dopadał właśnie ofiarę, potem kobieta, a na końcu oni.

Roślinność wprost kipiała z gazonów, rozlewała pnąca na okalające ją, wszędobylskie kostki bauma, ale nikt nie był w stanie podziwiać jej piękna przez nieustającą kakofonię dźwięków dochodzącą ze spodni Andrzeja.

Andrzej wydobył ze spodni świecące zawiniątko. W środku migotały figury geometryczne, a raczej figury geometryczne na figurach geometrycznych.

To są chyba te satory, stwierdził be przekonania Mirek.

Satory? Chyba sartony chciałeś powiedzieć, poprawił go Andrzej.

Mirek wzruszył ramionami na to niewielkie przejęzyczenie, po czym spytał, co z nimi zrobią. Andrzej nie wiedział. Stwierdził, że jeśli nie sprzedadzą tego w jakieś biedronce, czy żabce, to trzeba będzie je wyrzucić. Andrzej nie przewidział, jakie sartony potrafią być hałaśliwe.

Chwilę potem potworny ryk przewiercił ich zmiotczale mózgi na wylot. Mirek zacisnął powieki. Wyrzucić to, wołał, wypieprz to, słyszysz?!

Ale Andrzej nie mógł, jakieś synapsy mu się pod czaszką rozkleiły. Czuł jak kanonada fal dźwiękowych obezwładnia jego ciało. Nie mógł się ruszyć. Zesztywniał jak Lenin w mauzoleum.

Ostatkami sił Mirek chwycił za torbę i cisnął nią z daleka od nich.

Chwilę zbierał się w sobie, po czym podał Andrzejowi rękę.

Co to było?, spytał błady ze strachu.

Nie mam pojęcia, odparł równie wystraszony Mirek.

Może nie powinniśmy byli kraść tych rzeczy, Andrzej upewnił się, że ma w kieszeni pozostałe banknoty.

Torba wciąż ryczała jak egzorcyzmowany człowiek. Nawet z paru metrów piski i ryki skutecznie niwelowały chęć życia. Mirek z Andrzejem nie mieli wystarczająco odwagi by choć spojrzeć w ich stronę. Drżąc jak galaretki na talerzu oddalili się w przeciwnym kierunku. Dopiero, gdy przerażające wrzaski przestały docierać do ich uszu, przyjaciele odetchnęli z ulgą.

Noc spędzili na centralnym, a rano wyjechali pierwszym dalekobieżnym pociągiem dokądkolwiek. Nigdy więcej nie wrócili do Warszawy.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Gunslighter, dodano 24.07.2014 19:04

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.